

Steffen Jr., Edward

W wirze zamieci : pamiętniki z lat 1939-1940

Przegląd Pruszkowski nr 2, 25-57

1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Dr. Edward Steffen
Junior

W wirze zamieci

Pamiętniki z lat 1939-1940

W lipcu 1939 roku zostałem powołany na ćwiczenia wojskowe rezerwy do 32 Dywizjonu artylerii lekkiej w Centrum Wyszkożenia Piechoty w Rembertowie. Byłyby to niezłe wakacje, gdyby niezbyt ściśle powiązanie z garnizonem i konieczność wyrzeczenia się pobytu nad morzem, dokąd udała się gromadka znajomych.

W Rembertowie mieszkalem przy garnizonowej izbie chorych razem z lekarzem weterynarii sierżantem podchorążym Morawskim. Dosłużyłem się już stopnia porucznika. Moim fachowym zwierzchnikiem był major lekarz N., na swój sposób dziwak, dość rygorystycznie traktujący podwładnych, za to jego zastępca kapitan lekarz okazał się koleżeński. Gdy przyszedłem na ćwiczenia major był na urlopie, co pozwoliło mi przyjeżdżać do domu w te dni, kiedy kapitanowi przypadła służba inspekcyjna w garnizonie. Służbowo byłem przydzielony do dzwizjonu artylerii lekkiej, obowiązywała mnie obecność na ćwiczeniach z ostrym strzelaniem na miejscowym poligonie. Brałem też udział w manewrach, dokąd jechałem pojazdem konnym a nie na koniu, pamiętając niefortunne próby na maneżu w podchorążówce. Ciepłe noce spędzałem spacerując między rozlokowanymi w zagajniku drużynami a kuchnią, gdzie mogłem napić się gorącej herbaty. Przez okres pobytu na ćwiczeniach dopisywała pogoda, wolny czas spędzałem na basenie kąpielowym w obrębie Centrum. Wieczorem, w dniu poprzedzającym zakończenie ćwiczeń, spotkałem kilku podchorążych rezerwy i kolegę lekarza weterynarii Morawskiego w barze naprzeciw wejścia do Centrum. Był też stary wyga, chorąży służby zawodowej. Piliśmy pożegnalną kolejkę, rozprawiając o tym, co może zdarzyć się już w niedalekiej przyszłości.

- Czołem panie poruczniku - przepił do mnie chorąży. - Do zobaczenia w Berlinie! -

Ale droga do tego celu okazała się jakże długa i bolesna ...

W dniu 24 sierpnia 1939 roku, zaledwie kilkanaście dni po powrocie z ćwiczeń, otrzymałem w godzinach przedpołudniowych kartę mobilizacyjną z wezwaniem do stawienia się „od zaraz”. Następnego dnia od rana byłem już w batalionie sanitarnym I-go DOK-a przy ulicy Powązko-

wskiej w Warszawie. Stawiło się sporo powołanych lekarzy, między innymi koledzy z oddziału szpitalnego i szkoły podchorążych rezerwy. Był dr Benedykt Glass i Stanisław Mastbaum. Glass na pytanie o narodowość odpowiedział:

- Polak wyznania majęszowego.

Gdy stanąłem przed oficerem wydającym przydziały, okazało się, że zostałem przewidziany na kierownika polowej pracowni bakteriologicznej. Zaprotestowałem tłumacząc, że nie mam w tej dziedzinie przygotowania.

- To co pan może robić?

- Jestem lekarzem chorób wewnętrznych.

- A dobrym? - zapytał oficer decydujący o przydziałach.

- Proszę spytać moich kolegów, którzy stoją tu obok.

Skończyło się na tym, że zostałem skierowany do oddziału zakaźnego Szpitala Okręgowego Nr 1 przy ul. Zakroczymskiej w Warszawie. Oddział, który objąłem wspólnie z innym rutynowanym internistą, doktorem Szourem, był raczej typu obserwacyjnego. Ordynatora nie zastaliśmy. Poziom pracy pod względem fachowm lekarskim - przeciętnej. Pielęgniarki, starsze wiekiem, przeważnie przyuczone, przywykłe do pewnej rutyny wojskowej. Jedna z nich okazała się matką mojej koleżanki ze studiów medycznych - Trockiej-Rajewskiej.

W tygodniu poprzedzającym napaść hitlerowców na Polskę byłem odkomenderowany na jeden dzień do komisji poborowej dla rezerwistów, mieszczącej się w gmachu gimnazjum Zgromadzenia Kupców na Walicowie. Towarzyszył mi starszy kolega kapitan dr Niemojewski, syn znanego farmaceuty, producenta popularnych mieszanek ziołowych, przede wszystkim przeciw schorzeniom dróg żółciowych i otyłości. Po komisji wstąpiliśmy do baru w hotelu Europejskim, gdzie można było jeszcze zjeść wykwintniej i bardziej beztrosko, udając wobec siebie, że wojna da się mimo wszystko zażegnać. Kolegę Niemojewskiego spotkałem potem wiosną 1942 roku w wagonie kolejki EKD w Podkowie Leśnej. Na mój ukłon Niemojewski odpowiedział tak, jakby widział mnie po raz pierwszy. Zrozumiałem, że nie chce być poznany i indagowany.

Czwartego dnia po powołaniu do wojska wypadła niedziela, ostatnia przed wybuchem wojny. Ku memu zdziwieniu w Szpitalu były zamknięte magazyny z odzieżą i kancelarie tak, że odchodzący i część przybywających rezerwistów musiała czekać do poniedziałku. A przecież ziemia paliła się pod nogami.

Wojna zastała mnie w czasie pełnienia dyżuru szpitalnego. Bomby padały już o świcie. Ulica Zakroczymska to rejon ważnego mostu kole-

jowego przez Wisłę, jak również rozlokowanego tu garnizonu Cytadeli. Tego dnia po pracy pojechałem do domu w Pruszkowie, gdzie również spadły już bomby z samolotów. Byli ranni i zabici. W ciągu następnych dni aż do szóstego września przyjeżdżałem wieczorami do domu, do dzieci, nad którymi trzeba było ustalić opiekę, gdyż zapowiedziano już ewakuację szpitala wojskowego. Lucyna wróciła co prawda do domu i przyrzekła pozostać i opiekować się dziećmi, ale ...

Zrobiłem spore zapasy cukru, mąki i mydła, tego ostatniego chyba na 2-3 lata.

Na noc z szóstego na siódmy września do domu jechać już nie mogłem. Nocowałem w Warszawie u serdecznego kolegi Bobka (Włodzimierza) Zakrzewskiego, lekarza. Jego gospodyni, wdowa po pułkowniku lekarzu, wręczyła mi mały ryngraf z Matką Boską. Nosiłem go przy sobie, jak talizman. Niestety zaginął w dalszych wędrówkach i perypetiach. Nie pamiętam, czy było to już po najgroźniejszych momentach w mojej kampanii, gdy uniknąłem niewoli ze Wschodu.

W dniu siódmym września od rana zaczęły podjeżdżać na dziedzińiec Szpitala Zakażego karetki sanitarne, ciężarówki i autobusy różnych typów. Załadowywanie chorych i pakowanie bagaży odbywało się w pośpiechu, gdyż wszyscy byliśmy pod wpływem wysoce niepokojącego apelu radiowego pułkownika Umiastowskiego, który ubiegłego wieczoru wzywał mężczyzn zdolnych do noszenia broni, aby opuszczali Stolicę.

Dziś nie mogę podać, czy szpital został całkowicie opróżniony, czy też pozostali ciężko chorzy i czy utrzymano możliwość przyjmowania nowych. Około południa samochody zaczęły opuszczać teren szpitala stopniowo, w przerwach między powtarzającymi się sygnałami zapowiadającymi nowe naloty. Na moście Poniatowskiego wysiadłem i szedłem pieszo jakby za konduktem pogrzebowym, bo takie właśnie skojarzenie nasuwało mi się uporczywie. Ulica Grochowska była zatłoczona, dopiero za przejazdem kolejowym w Aninie mogłem wsiąść ponownie do autokaru, ale posuwaliśmy się nadal bardzo wolno. Z obu stron szosy ciągnął się nie kończący się sznur osób cywilnych z dobytkiem. Nas skierowano do osady Kołbiel w powiecie garwolińskim. Wielokrotnie po drodze przelatywały nad nami samoloty niemieckie, zrzucały bomby i ostrzeliwały szosę z pokładowej broni maszynowej. W Kołbieli, leżącej w bezpiecznej odległości od szosy lubelskiej, w otoczeniu lasów, było względnie spokojnie. Zebrała się tam duża grupa jednostek sanitarnych z Warszawy. Chorych ewakuowanych nie było. Nocowaliśmy w izbach mieszkalnych na rozestanej słomie i kocach. Był ze mną kolega porucznik Stanisław Mastbaum i lekarka stomatolog Regina P., kontraktowy

pracownik wojskowy. Panna Rena, przystojna blondynka, była nader skrzępowana w naszym towarzystwie. Mimo perswazji przesiedziała całą noc na krześle, nie kładąc się ani na chwilę. Następnego dnia część zgrupowania wyruszyła w kierunku Mińska Mazowieckiego, gdzie zatrzymano nas przy szosie siedleckiej naprzeciwko bramy do koszar pułku ułanów. Miejsce postoju trwającego kilka godzin było wystawione na powtarzające się przeloty samolotów. Dopiero w południe wyruszyliśmy dalej w kierunku Kałuszyna. Jechałem tym razem z kapitanem Czesławem Gawlikowskim, dobrze mi znanym z Pruszkowa lekarzem chirurgiem, asystentem dra Sławińskiego w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Początkowo wyznaczono nam punkt postoju w Kałuszyźnie, miejscu mego urodzenia. Była to w latach 1901/2 pierwsza placówka pracy ojca. Mówiłem Gawlikowskiemu: „boję się zginąć w Kałuszyźnie”. Jak dowiedziałem się niebawem, Kałuszyn, leżący przy szosie w kierunku Siedlec, został zbombardowany nad wieczorem tego samego dnia zapalającymi pociskami i w dużym stopniu uległ zniszczeniu. Rozkaz o zmianie trasy w kierunku miejscowości Mienia, osady przy stacji kolejowej tejże nazwy, zastał nasze zgrupowanie przy rozgałęzieniu szosy, gdzie przeżyliśmy intensywne ostrzeliwanie z samolotów, zrzucono również bomby. Wskoczyłem z sanitarki i wraz z Gawlikowskim pobiegliśmy w kierunku zarośli, za którymi rósł dość gęsty las. Gdy po kilku minutach wracaliśmy do karetki, pewni, że i reszta personelu usiłowała ukryć się, spotkał nas zasłużony wyrzut ze strony pielęgniarek. Odczułem to jak najbardziej przykre upokorzenie, które pamiętam do dzisiejszego dnia. W Mieni zajęliśmy zabudowania szpitala przeciwgruźliczego, gdzie zakwaterowano duże zgrupowanie personelu lekarskiego i pielęgniarskiego Wojskowej Służby Zdrowia DOK Nr 1. Trzon stanowił Szpital Ujazdowski należący do Centrum Wyszkolenia Sanitarnego i Szpital Okręgowy Nr 1 z ulicy Nowowiejskiej (6 Sierpnia) z jego filią zakaźną na Zakroczymskiej. Mieliśmy zastane łóżka szpitalne i wystarczające urządzenia sanitarne. Chorzy na gruźlicę zostali już wcześniej wypisani do domów, część przeniesiono do pawilonu leśnego przy drodze do Latowicz. Szarytki z wielkim trudem przygotowywały wyżywienie dla dużego zastępu gości. Na rzeź poszły krowy z własnej obory. Do rozporządzenia mieliśmy obszerne leżalnie, a że wciąż trwała ciepła pogoda, część załogi spała na powietrzu. Łączność z Warszawą utrzymywano dzięki jeszcze czynnej linii telefonicznej, a także aparatem radiowym, i gdyby nie powtarzające się naloty na leżącą w pobliżu stację kolejową ze stojącymi na bocznicach wagonami towarowymi, czulibyśmy się bardziej jak na lotnisku niż na wojnie, rozgrywającej się

również w powietrzu, nawet na dalekim zapleczu walk naziemnych. W budynku sanatorium była kaplica, gdzie codziennie odbywały się nabożeństwa, ale i w innych godzinach można było zastać tam gorliwie modlących się lekarzy. Spotkałem tam między innymi znanego chirurga jamy ustnej, o którym mówiono, że był niepraktykującym, podającym się za ateistę.

Z kolegą Mastbaumem kręciliśmy się po obejściu szpitalnym, wracając do tematów: lata asystenckie, wojna, pozostawiona rodzina. Towarzyszyliśmy często wspomnianej już lekarce stomatolog, pannie Renie, która właściwie bez przymusu ewakuowała się z jednostką sanitarną, nie zabierając ze sobą nawet najpotrzebniejszych osobistych rzeczy. Nic dziwnego, że w tych warunkach była zagubiona i poszukująca moralnego wsparcia.

Minął już ponad tydzień od wybuchu wojny a nasza grupa czekała beczynnie na rozkazy. Zorganizowano izbę chorych z ambulatorium, ale rannych i chorych właściwie nie widzieliśmy.

Na zapleczu posesji szpitalnej rozlokował się batalion sanitarny DOK Nr 1 z Warszawy - Powązek. Spotkałem tam mego byłego dowódcę plutonu ze Szkoły Podchorążych Rezerwy Sanitarnej porucznika Kwapińskiego, nazywanego przez nas dzyndzykiem od niefortunnego słowa, którym często posługiwał się w prowadzonych ćwiczeniach obrony przeciwgazowej. Od czasu, gdy byłem szeregowym z cenzusem, porucznik nie awansował. Spotkałem też Józefa Kwasiborskiego przydzielonego do batalionu. W dniu 12-tym września zarządzono wymarsz do nowego miejsca koncentracji we Włodawie na Bugu. Z kolegą i przyjacielem Józefem Kwasiborskim pożegnaliśmy się przy menażce bardzo smacznego kapuśniaku z konserwami mięsnymi i pomidorami. Naturalnie z kotła. Podobnie smakowała mi fasolówka z kuchni polowej w 1920 roku w Zegrzu. Byłem wówczas kanonierem I-go Pułku Artylerii motorowej najcięższej.

Po całodzienniej wędrówce zatrzymaliśmy się zmęczni przy moście na Bugo-Narwi obok koszar wojsk łączności. Była prawie północ. Tę dygresję kulinarną zrobiłem dla podkreślenia, jak pozornie błahe wydarzenia w szczególnych okolicznościach pozostaje trwale w pamięci.

Do Włodawy wyruszyliśmy o zmierzchu. Gdy dojechaliliśmy do Lato-wicz, była już noc. Osada paliła się. Widok był godny opisu dantejskiego piekła: morze ognia, ryk bydła, ujadanie oszalałych psów i zgiełk ludzkich głosów, płaczu... W dalszej drodze zepsuł się nasz pojazd mechaniczny i trzeba było przesiadać się na zarekwirowany wóz parokony, na którym nie starczyło dla mnie miejsca, gdyż zajęła je żona

bezczelnie zachowującego się starszego szeregowca rezerwy, sanitariusza narodowości żydowskiej. Na wozie położyłem tylko moją niewielką walizkę. Szedłem pieszo, przyłączył się do mnie po drodze inny oficer, o ile pamiętam nie lekarz. O świcie w okolicy Łukowa dotarła do nas wieść, że zagon pancerny Niemców jest niedaleko. Posuwaliśmy się tuż za opłotkami dużej wsi. W jednej z zagród poprosiliśmy o mleko, którego gospodyni nie miała, ale dostaliśmy gorącej herbaty. Zatrokana kobieta przypatrywała się nam, jak spragnieni pijemy odświeżający napój:

- Zleście panowie oficerowie wojowali, źle...-

Wiele lat minęło, a doznanego wówczas upokorzenia nie zapomniałem.

Za wsią szedłem już sam brzegiem drogi, nad rowem. Naprzeciw mnie posuwał się mały oddział prowadzony przez wachmistrza jadącego konno.

- Czołem panie poruczniku - posłyszałem.

Była to jedna z baterii DAL-u z Rembertowa, zdekompletowana.

- Skąd panowie i dokąd? - zapytałem.

- Biliśmy się nad Mławą, ponieśliśmy duże straty, posuwamy się na południe do punktu zgrupowania.-

Zmęczony zatrzymałem się w przydrożnych zabudowaniach przy trakcie prowadzącym do Radzyna Podlaskiego. Byłem zakurzony, nieogolony i głodny. Miałem rozerwane spodnie. Na szczęście napotkałem tu karetkę sanitarną z Warszawy. Załodze przewodził lekarz w randze majora, dermatolog powołany z rezerwy. Towarzyszyła mu żona. Nazwiska majora nie mogę sobie przypomnieć, choć należał do bardziej znanych lekarzy ze stolicy. Przyjąłem z dużą ulgą propozycję skorzystania z pojazdu, tym bardziej, że kierowaliśmy się do tego samego miejsca koncentracji, do Włodawy. Jechaliśmy przez Radzyń, Parczew. Tu było już znacznie mniej uchodźców i żołnierzy zdążających do wyznaczonych miejsc zbiórki. Nad wieczorem zobaczyliśmy łunę nad Włodawą. W miarę zbliżania się do celu naszej wędrówki można było rozróżnić również języki ognia i dym. We Włodawie paliła się drewniana część miasteczka. Rynek i najbliższe ulice ocalały. Niemcy przylecieli wczesnym popołudniem i rzucili bomby, przeważnie zapalające. Atakując bardziej odległą i mało znaczącą miejscowość, lotnicy wroga musieli mieć bliższe dane o kierowanych tam jednostkach. Takie rozważania nasuwały się z konieczności przy zestawianiu faktów, świadczących przede wszystkim o zorganizowanym wywiadzie wroga posiadającym siatkę rozsianych placówek.

Majorowa, żona lekarza - na widok palącej się Włodawy doznała szoku i płacząc spazmatycznie oświadczyła mężowi, że nie zostanie w tym mieście nawet na chwilę. A przecież major jechał tu służbowo, zgodnie z rozkazem! Nie czułem się zdolny do dalszej drogi, pożegnałem uprzejmego starszego kolegę i udałem się na poszukiwanie miejsca wypoczynku i możliwości zaspokojenia głodu. W zaciemnionym i zatłoczonym lokalu przy rynku dostałem kubek gorącej herbaty i porcję gotowanego boczku z pajdą chleba. Tu spotkałem znajomego lekarza, był nim docent z Zakładu Anatomii Patologicznej w Warszawie, porucznik Karol Chodkowski. Udaliśmy się razem do miejscowego szpitala, gdzie pozwolono nam przenocować. Rano rozstaliśmy się, żeby poszukać własnych oddziałów. Kolega Chodkowski zginął w Katyniu, również major, którego nazwiska obecnie nie pamiętam, uległ zagładzie w tych samych warunkach, o czym dowiedziałem się w 1943 roku gdy Niemcy ogłosili nazwiska pomordowanych polskich oficerów. Wtedy jeszcze pamiętałem nazwisko tego lekarza.

Jedną z pierwszych osób, którą spotkałem rano po wyjściu ze szpitala na rynek, była stomatolog panna Rena. Wzięła mnie pod rękę i w serdecznych słowach wyraziła zadowolenie z ponownego spotkania.

- Teraz już nie pozwolę, żeby wędrował pan sam.-

A nowy punkt koncentracji wojsk służby zdrowia wyznaczono w Tarnopolu. Do opisanych wydarzeń, związanych z Włodawą, powracałem wielokrotnie w następnych latach. Tylko przypadek, a raczej Opatrzność, uchroniła mnie od losu obu kolegów.

Karetką sanitarną, do której wprowadziła mnie panna Rena, rozporządzał ppłk lekarz Ostaszewki, chirurg specjalista jamy ustnej, powołany z rezerwy. Towarzyszył mu syn Jan, student medycyny po 3-cim roku studiów. Były też trzy pielęgniarki, wśród których wyszkolona instrumentariuszka Barbara Nazarowska, osoba młoda. Kierowca sanitarki i sanitariusz, starsi żołnierze, pracowali przed zmobilizowaniem w tramwajach warszawskich. Po przejechaniu mostu na Bugu znaleźliśmy się na terenie województwa wołyńskiego. Pierwszy postój i nocleg przypadł w Szacku, sporym ośrodku, w okolicy lesistej z niedaleko położonym jeziorem, przystanią i kąpieliskiem. W Szacku zastaliśmy czynny szpital polowy rozlokowany w budynku szkoły. W innym parterowym domu mieściła się bursa, którą w czasie przerwy wakacyjnej zamieszkiwali uczestnicy kursów doskonalenia rolniczego. Doktor Ostaszewski zakwaterował się z synem oddzielnie, mnie zaś przypadło towarzystwo obu pań - Reny i Basi Nazarowskiej, z których ta pierwsza

nie mogła jakoś przystosować się do warunków współżycia w atmosferze ewakuacji, bowiem wypadło nam spać we troje na dwóch zestawionych łózkach. Dzień spędzony w Szacku był czasem odpoczynku i odprężenia, gdyż nie dochodził tu ani szum samolotów, ani oddalona kanonada, ani widok pożarów. W ogródku plebanii prawosławnej zdobyłem piękny okaz goździka o jaskrawej czerwieni. Ofiarowałem go pannie Renie. Początkowo powzięliśmy projekt pozostania w Szacku przy zorganizowanym tam szpitalu polowym, jednak plan ten upadł wobec decyzji dalszej ewakuacji na południe. Najbliżej wyznaczonym postojem była Lubomla, gdzie na pobrzeżu miasteczka, na łące, zaimprovizowaliśmy palenisko dla przygotowania gorącego posiłku z produktów, które można było jeszcze zakupić w sklepach i u wiejskich gospodyń. Noc spędziliśmy w stodole na snopkach słomy. Nie mogłem zasnąć a później budziłem się i ruchami nóg starałem się odstraszyć polne myszy. Obejście, w którym zatrzymaliśmy się na noc należało do Polaków, ale już następny odpoczynek w ciągu dnia wypadł w gospodarstwie ukraińskim, gdzie wyczuliśmy wyraźną niechęć do nas. Z Lubomli podążyliśmy do Kowla. Po drodze zobaczyłem obok szosy niemłodego już pana Szczepkowskiego z Pruszkowa, dziennikarza, który starał się uporać z zaprzęgiem konnym. Przez Kowel przejeżdżałem już parokrotnie kolejką, w samym mieście znalazłem się po raz pierwszy. Sytuacja strategiczna była niejasna, nie mieliśmy zleceń na dalszą wędrówkę. Pułkownik Ostaszewski zameldował się u miejscowych władz wojskowych. Decyzję co do naszych dalszych losów odłożono na kilka godzin. W tym czasie zwiedziliśmy kościół farny wystawiony w okresie międzywojennym przez księdza prałata Tokarzewskiego /?/ kapelana Legionów, związanego nigdy blisko z Marszałkiem Piłsudskim. Księdza spotkaliśmy przed kościołem, którego wystrój architektoniczny był wyjątkowo okazały. Sędziwy kapłan zachęcał nas do pozostania w Kowlu pod opieką Opatrzności boskiej, która miała nam zapewnić bezpieczeństwo i zachować kościół. Niestety, kilka dni później lotnictwo wroga zburzyło świątynię.

Nad wieczorem tego samego dnia dostaliśmy rozkaz posuwania się na południe do Tarnopola przez Łuck, Dubno, Krzemieniec, Wiśniowiec i Zbaraż. Jechaliśmy nocami ze względu na naloty lotnicze, które nie omijały nawet bocznych dróg. Po drodze mijaliśmy Łuck, miasto wojewódzkie, które teraz wyglądało jak opustoszałe. Kolejny odpoczynek był przewidziany w Dubnie, dokąd przyjechaliśmy o świcie. Zatrzymaliśmy się pod miastem w gospodarstwie, które należało do rodziny Ukraińców. Wyczuwaliśmy nieszczerłość tych ludzi, choć jeszcze nie okazywali nam wrogości. O zmierzchu wyruszyliśmy w dalszą drogę. Tu muszę stwier-

dzić, że w drodze nie mieliśmy trudności w zaopatrywaniu się w paliwo, co dla cywilnych właścicieli samochodów stanowiło nie lada zagadnienie, nawet utrapienie. Z Dubna jechaliśmy przez Krzymieniec, gdzie przy obowiązującym zaciemnieniu majaczyły tylko tajemnicze zarysy bydlowli znanych z historii. W dalszej drodze minęliśmy Wiśniowiec, dawną siedzibę książąt Wiśniowieckich. Tej nocy z szesnastego na siedemnasty września spadł deszcz, ale było ciepło, podobnie jak w inne dni tego pamiętnego miesiąca. Na odcinku między Wiśniowcem a Zbarażem poprawiano nawierzchnię szosy, stąd była nawet konieczność objazdu przez żyzny, gliniasty teren. Niedaleko za Wiśniowcem droga została zatarasowana przez samochody, tak, że musieliśmy czekać na rozładowanie przeszkody. Wyszedłem z sanitarki razem z panną Reną, z którą zdążyłem się serdecznie zaprzyjaźnić. Mżyło, miałem na sobie pelerynę oficerską wypożyczoną od znajomego oficera, jeszcze na czas ćwiczeń w lipcu - sierpniu. Staaliśmy na poboczu szosy, na niewielkim pagórku. Tu i ówdzie zapalały się blaski błędzących po niebie reflektorów, z oddali dochodziło głucho dudnienie, ale obok nas panował spokój. Peleryna starczyła na okrycie nas obojga i było mi jakoś dziwnie bezpiecznie w tej niesamowitej a groźnej scenerii, gdy czułem obok siebie bliskość kobiety, bardziej niż życzliwej, nawet kochającej, co okazał następny dzień. Jej oddech był gorący, a dotknięcia warg na moim policzku wymowniej niż wyznania zdradzały to, co czuła.

- Niech na całym świecie wojna - powtórzyłem w myślach słowa poety.

O brzasku zobaczyliśmy nisko przelatujące samoloty o nieznanym kształcie i oznakowaniu. Nie rzucały bomb i nie strzelano z nich do kolumny posuwających się szosą pojazdów. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że były to maszyny radzieckie. Do Zbaraża dotarliśmy wczesnym rankiem i tu było już wiadomo, że wojska wschodniego sąsiada wkroczyły na nasze ziemie. Byliśmy zaskoczeni, niepewni losu. Uświadomiłem sobie, że oto jestem w historycznym Zbarażu, badałem wzrokiem teren znany z trylogii Sienkiewicza. Wypatrywałem, którądy przedzierać się miał Skrzetuski z oblężonego grodu. Wszedłem do pięknej fary dominikańskiej. Była niedziela. Przy głównym ołtarzu ksiądz zakonnik śpiewał donośnym głosem prefację:

- Vere dignum et justum est, aequum et salutare...

Stałem z boku, przy rzędzie ławek. Modląca się kobieta wskazała mi miejsce obok siebie. Usiadłem, zasłoniłem twarz rogatywką i zapłakałem... Nigdy dotąd nie doświadczyłem tak szczerze poczucia krzywdy narodowej.

Do Tarnopola przybyliśmy bez przeszkód. Miałem obiekcję, czy przystoi zameldować się u komendanta dużego zgrupowania oficerów służby sanitarnej, generała brygady Kołłątaja-Srzednickiego w niedających się doczyścić butach z chlewami. Ale sytuacja była wyjątkowa. Dostałem polecenie zwrócenia się po nowy przydział, miałem również pobrać uposażenie za 3 miesiące naprzód. Od lekarzy przebywających kilka dni w Tarnopolu, między innymi majora rezerwy dra Waśniewskiego z Warszawy, dowiedzieliśmy się, że w budynku dużej szkoły oczekuje beczynnie duża grupa oficerów służby zdrowia, przeważnie lekarzy. Odbywają się raporty a w czasie powtarzających się nalotów załoga zbiega do schronów w podpiwniczonym budynku. O oznaczonej porze, około drugiej po południu, stanąłem wraz z pułkownikiem Ostaszewskim i wspomnianym już majorem Waśniewskim¹ przed wejściem do pokoju, gdzie rejestrowano przybyłych z różnych jednostek lekarzy i wydawano nowe przydziały. Jeszcze nie zdążono otworzyć drzwi, gdy na klatkę schodową wpadł zdyszany major i ogłosił krótko i dobitnie:

- Panowie oficerowie - za Dniestr! -

Zrozumieliśmy, że zbliżające się wojska radzieckie, jak stało się już wiadome, otaczają i biorą do niewoli napotkane nasze oddziały, nie wyłączając sanitarnych. Zebrani oficerowi rozpierzchli się. Dopadliśmy swojej sanitarki, a że załoga była już w komplecie, po krótkiej naradzie nad mapą udaliśmy się na południe ku granicy Rumunii drogą przez Buczacz. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów od Tarnopola, kiedy jechaliśmy na wschód do szosy na Buczacz, zatrzymało nas dwóch rannych żołnierzy, których zabraliśmy ze sobą. Ranni nie byli pewni, kto strzelał, ale już niebawem zobaczyliśmy wyłaniające się od strony lasu, po wschodniej stronie od szosy - czołgi. Z nich prowadzono ostrzał.

Dalszą drogę na południe odbyliśmy z taką prędkością, na jaką pozwoliła moc silnika karetki sanitarnej. Wśród jadących zapanował niepokój. Sanitariusz, w cywilu konduktor tramwajowy w Warszawie, zarepetował karabin, zamierzając strzelać w kierunku czołgów, tylko opanowany pułkownik Ostaszewski powstrzymał go.

- Co chcecie zrobić? Przecież jedziemy karetką ze znakiem Czerwonego Krzyża.-

Dwie starsze wiekiem pielęgniarki zaczęły głośno modlić się, odmawiając litanie do Matki Boskiej.

1. Ojcem Marii Waśniewskiej, znanej i cenionej w latach powojennych specjalistki chorób układu krążenia

99 Naszą szaleńczą jazdę przerwało niespodziewanie zablokowanie szosy, opanowanej kilka kilometrów dalej przez oddziały radzieckie. W momencie zatrzymania karetki podszedł do pułkownika Ostaszewskiego mężczyzna w cywilnym ubraniu ze słowami:

155 - Proszę mi pomóc, wiozę kasę skarbową, ponad pół miliona złotych.-

100 Jednak ratować trzeba było przede wszystkim rannych i personel. I tym razem doktor Ostaszewski nie stracił orientacji, zarządzając skierowanie karetki sanitarnej na boczną drogę, mogącą nas dowieźć do szosy prowadzącej z Tarnopola do Stanisławowa, przebiegającej kilkanaście kilometrów na zachód. W pośpiechu nasza karetka sanitarna zsunęła się do płytkiego rowu, ugrzęzła. Tymczasem strzały i wybuchy zbliżały się, były coraz gęstsze. Wskoczyłem na drogę, trzymając za rękę pannę Renę. Biegliśmy, byle dalej od zasięgu ognia karabinowego.

101 - Jak mamy zginąć, to razem! - powtarzała moja zdyszana towarzysza. Odpiąłem naramienniki i odznakę ukończenia Szkoły Podchorążych Sanitarnych, rogatywka spadła mi do rowu. W miarę narastającego zmęczenia musiałem pozbyć się walizki, poprzednio odzyskanej we Włodawie. Zaczęło zmierzchać się, kanonada powoli ustawała. Przechodziliśmy przez większą wieś. Zastanawiałem się, czy nie udałoby się uzyskać cywilnego ubrania. Co to mogło dać? Idąc na wojnę zabrałem jedyny dokument wojskowy: książeczkę służby oficerskiej, która mogła mi tylko zaszkodzić przy legitymowaniu się wobec wroga. Nie miałem ze sobą, niestety, cywilnego dowodu osobistego. Byliśmy już dostatecznie zmęczeni, gdy dogoniła nas karetka sanitarna, którą zdołano wyciągnąć z rowu z pomocą koni wynajętych przez pułkownika Ostaszewskiego. Szosa w kierunku Stanisławowa nie była nadmiernie zatłoczona a aktywność lotnictwa ustała. Przypominam sobie przejazd przez Monasterzyska, gdzie jakby nie obowiązywało zaciemnienie. Było widno, ale nie od palących się zabudowań. Jacyś cywili mieszkańcy zaofiarowali nam kilka dużych paczek z pudełkami papierosów machorkowych z tamtejszej fabryki wyrobów tytoniowych. W tym czasie paliłem co prawda papierosy, ale do machorkowych nie mogłem się zmusić.

102 W Stanisławowie byliśmy o brzasku dnia. Tu bez trudności zatanowaliśmy tyle benzyny, żeby starczyło na przejazd do granicy węgierskiej, gdyż kierunek na Rumunię trzeba było uznać za niepewny i niebezpieczny. Po krótkiej naradzie większość załogi postanowiła zostać w Stanisławowie i czekać na rozwój wypadków. Pierwszym zadaniem było umieszczenie obu rannych żołnierzy w szpitalu garnizonowym. Zastaliśmy tam wyłącznie cywilny personel pod kierunkiem leka-

rza Jana Gutta, ginekologa, który chętnie przyjął naszą gromadkę do pracy, gdyż cały zespół wojskowy ewakuowano. Oprócz nas pozostało w szpitalu jeszcze kilkunastu lekarzy chętnych do pracy. Zgłosiłem się do prowadzenia oddziału zakaźnego zorganizowanego na czas wojny w budynku szkolnym na tyłach szpitala. Doktor Ostaszewski wyraził chęć do pracy w oddziale chirurgicznym razem z synem Jasiem i pielęgniarką operacyjną Barbarą Nazarowską. Panna Rena - stomatolog - zaczęła przyjmować chorych w ambulatorium przyszpitalnym.

W ciągu następnego dnia po naszym przybyciu do Stanisławowa (był to poniedziałek) wojska radzieckie jeszcze nie dotarły do miasta. Przez całą dobę trwała uporczywa strzelanina między naszymi cofającymi się oddziałami z resztkami garnizonów a grupami uzbrojonych Ukraińców i Żydów oczekujących nadejścia władzy radzieckiej.

Noc przespaliliśmy w szpitalnej izbie przyjęć na zestawionych ławkach. Obiad i kolację wydano nam ze szpitalnego kotła. Radzieckie władze wojskowe zjawily się w szpitalu dopiero we wtorek 19 września, w godzinach popołudniowych. Zgromadzono nas przed głównym budynkiem. Przemówił lekarz wojskowy II rangi (major), nazywał się Briskman i, jak okazało się później, był już wówczas przewidziany na stanowisko komendanta szpitala radzieckiego, którego kadra miał przybyć później. Briskman przestrzegał nas, że zostały przejęte dokumenty personalne oficerów (wszystkich) służby sanitarnej, dlatego należy podawać tylko prawdę. Musimy oddawać broń, podając jednocześnie szczegółowe dane z życiorysu. Zwierzchność radziecka, oświadczył Briskman, zostawia nas na dotychczasowych stanowiskach pracy i będzie służyć pomocą, między innymi w dostarczaniu leków, a krew konserwowana w razie potrzeby zostanie zrzucana na spadochronach z samolotów /!/. Byłem tymi wypowiedziami zaskoczony. Po przemówieniu Briskmana podchodziliśmy do ustawionych na dziedzińcu stołów, a ci spośród lekarzy i oficerów służby sanitarnej, którzy mieli broń, składali ją w milczeniu. O ile pamiętam, nie zabroniono nam wychodzić poza bramę szpitala garnizonowego, chociażby dlatego, że oddział zakaźny, w którym pracowałem, był położony około 300 metrów za ogrodzeniem, w budynku szkoły powszechnej.

Intendentura szpitala podjęła dodatkową pracę żywienia personelu, który początkowo był nader liczny. Dostawaliśmy proste i jedностajne pożywienie z kotła. Jego smak pozostawiał wiele do życzenia, lecz żywienie szpitalne było mimo to dużym ułatwieniem dla nas, gdyż sklepy i punkty żywienia w mieście były pozamykane lub znacznie

Uograniczały swoją działalność wobec niepewnej sytuacji, przede wszystkim walutowej, jak również braku dowozu produktów ze wsi.

Po objęciu pracy w oddziale zakaźnym zakwaterowałem się w jednej z wolnych izb szpitalnych. Oddział nie był strzeżony i zwykle poza dyżurującym personelem nie miał wojskowej ochrony. Dostałem do pomocy młodego lekarza, nazywał się Marek, był narodowości żydowskiej, pochodził z Wadowic; medycenę studiował za granicą. Nie znał ani języka rosyjskiego ani ukraińskiego. Lekarze z zagranicznymi dyplomami nie potrzebowali w tym okresie i na tym terytorium nostryfikować dyplomów. Kolega Marek zamieszkał razem ze mną w oddziale. Pielęgniarką oddziałową była osoba dyplomowana, nazywała się Sme-reczanka, nie pamiętam jej imienia. Dbała opiekunka chorych, rzetelna w sprawach gospodarczych, dobrze znała zakres swoich obowiązków. Sanitariuszami byli żołnierze. Początkowo mieliśmy niewielu chorych, ale oprócz naszych żołnierzy zaczęli przybywać również i radziecy. Wśród pierwszych przeważały choroby przewodu pokarmowego, z toksyczną czerwonką, ku memu utrapieniu. Wśród radzieckich chorych przeważały nieżyty dróg oddechowych, ale obok nich ciężko przebiegające przypadki zgorzeli gazowej i ropiejące zakażenia przyranne. Lekarze radziecy jakoś nie garnęli się do leczenia tych stanów, a ja nie miałem jeszcze w tym zakresie doświadczenia. Tak było również w oddziałach zabiegowych, dlatego przypuszczałem, że lekarze radziecy unikali odpowiedzialności, prowadząc leczenie w nieznanym środowisku. Później dowiedziałem się, że podobną taktykę prowadzą również u siebie.

W ciągu kilkunastu dni żołnierze radziecy zaczęli przyzwyczajać się do naszego sposobu bycia i leczenia, a opuszczając oddział chwalili sobie pobyt i opiekę.

- Was, wiecie doktorze, wprost chwala! - zwierzył mi się sierżant służby sanitarnej.

W okresie między objęciem szpitala przez władze radzieckie przy pozostawieniu części polskiej obsady lekarsko-pielęgniarskiej, a przybyciem kadry szpitala polowego, byłem odpowiedzialny w ciągu tygodnia za szpital dla jeńców (naszych wojskowych). Dlaczego ja zostałem obarczony tą odpowiedzialnością, nie mogłem zrozumieć. Odkryło się to tak: przybyli do mnie dwaj miejscowi lekarze Ukraińcy dr Kozak i dr Wojewidka, żeby uzyskać moją zgodę i uzgodnić zasadnicze sprawy związane z moimi obowiązkami. W rozmowie nie brał udziału komendant szpitala Briskman, lekarz wojskowy II-ej rangi (major), nie dostałem również żadnego dokumentu na piśmie. Przyznaję, że moja rola była

bardzo trudna, gdyż znany byłem tylko personelowi oddziału zakaźnego i kilku osobom, z którymi przybyłem do Stanisławowa.

Pamiętam między innymi, jak niektórzy chorzy i ranni byli pośpieszenie i przedwcześnie wywożeni ze szpitala bez zwykłych czynności administracyjnych. Zajmowały się tym pielęgniarki, nie uzgadniając tego postępowania ze mną, a to chyba dlatego, że nie знаły mnie na tyle, żeby zwierzyć się z tej akcji. Zwróciłem im uwagę, ale potem uznałem, że lepiej zostawić sprawę inicjatorce. Chodziło przeważnie o wojskowych w stopniach oficerskich. Żywiół polski w Stanisławowie musiał być dostatecznie zwarty, żeby taka akcja mogła udać się.

Po upływie kilkunastu dni od wkroczenia wojsk radzieckich przyjechał zespół szpitala wojskowego. Kierownictwo oddziału zakaźnego objął lekarz wojskowy II rangi (major) Rutsztajn z pomocnikiem lekarzem III rangi (kapitanem) Minusiewiczem. Obaj z Dniepropietrowska. Początkowo byli pewni siebie i obchodząc sale z innym wojskowym (politrukiem) pokazywali ze śmiechem zawieszane u sufitu modele naszych samolotów, pozostałość rekwizytów szkolnych.

- Popatrzcie, oto sławna polska awiacja!

W jednej z sal pokazali niewielką pajęczynę:

- Zdjąć tę polską pajęczynę!

W jednej z mniejszych izb szpitalnych leżała ciężko chora pielęgniarka oddziałowa wspomniana już Smereczanka, wyczerpana biegunką. W momencie gdy umundurowani wojskowi w czapkach przekraczali próg sali, Smereczanka siedziała na przenośnym basenie. Była bardzo zdeprymowana sytuacją, ale to zupełnie nie wzruszyło wchodzących, wśród których znajdowało się dwóch lekarzy. Było mi niezmiernie przykro jako opiekunowi tej bardzo wartościowej a obłożnie chorej osoby. Smereczanka zmarła w ciągu kilku najbliższych dni, nie mogłem jej zapewnić stosowania niezbędnych środków, jak przetoczenie krwi, czy krwiozastępcze płyny.

Obaj lekarze wojskowi wraz z komisarzem szpitala Kolesnikowem zamieszkali ze mną i młodym lekarzem Markiem w jednej izbie. Żywiłem się nadal w szpitalu, ale po przejęciu kuchni przez kucharza wojskowego stało się to kłępujące. Pielęgniarką oddziałową została młoda Ukrainka, która przyznała się wobec mnie, że jej dziadek był Polakiem. Wychowana w organizacji komsomolskiej była nieufna i prymitywna.

- Doktor nosi obrączkę - zwróciła się do mnie. - U nas kulturalni ludzie tego nie noszą!

Jednak sama patrzyła pożądlivym okiem na każdą świecą się drobnostkę przy ubiorze kobiecym. Dziewczyna ta przypadła do gustu młodemu koledze Markowi.

Po objęciu szpitala przez zespół radziecki, polski personel lekarski był przedstawiony naczelnemu lekarzowi armii (tak zwany Naczsanarm) - Łapin Dolińskiemu, który był w stopniu pułkownika, czyli lekarzem pierwszej rangi. Towarzysz naczsanarm zainteresował się moim odmiennym ubiorem, nosiłem bowiem pożyczoną pelerynę wojskową i granatowy beret, podczas gdy inni lekarze byli ubrani przepisowo, choć już nie nosili dystynkcji. W późniejszym okresie rozmawiałem parokrotnie ze wspomnianym naczelnym lekarzem armii, osobnikiem dość gładkim w obejściu.

Stosunki oddziału wewnątrzno-zakaźnego z lekarzami radzieckimi stawały się powoli bardziej poprawne. Wpłynęła na to moja znajomość języka rosyjskiego i postawa fachowca, którą Rutsztejn potrafił docenić. Prowadziliśmy dyskusje, nieraz prostowałem jego zapatrywania, podytowane bardziej względami propagandowymi, niż potrzebą ściśle lekarską.

- Jakimi środkami leczą u was czerwonkę? Zapewne środkami dezynfekującymi i zapierającymi? - zadał mi kiedyś pytanie. - U nas przeciwnie, podajemy chorym leki czyszczące, gdyż dyzenteria to nie biegunka, lecz zaparcie.

- Myślę, że kolega chciał tu podkreślić spastyczny charakter tej biegunki - zauważyłem.

- A tak, słusznie...

Byłem zbulwersowany wypowiedzią Rutsztejna.

Nie było jeszcze w użyciu antybiotyków a sulfonamidy pochodzenia radzieckiego ograniczały się wówczas do Streptocydu i prawie niedostępnej Sulfidiny. Streptocyd, gruboziarnisty szarawy proszek, dawał się rozpuścić w nieznacznym stopniu w wodzie destylowanej, gdy ówczesne polskie preparaty w roztworach osiągały od 6 do 15 % stężenia w ampułkach.

Czerwonkę bakteryjną, rozpoznawaną nie według badań laboratoryjnych lecz przebiegu klinicznego, lekarze radzieccy leczyli zaczynając od środka czyszczącego. Podawano 5% roztwór siarczanu magnezu. Przy chorym stawiano 1/2 litrową butelkę leku, z której chory popijał łyżkami płyn w ciągu pierwszej doby. Następnie przez kilka dni należało podawać do picia bakteriofag przygotowywany w ampułkach. Zalecenie takie było, ale niestety preparat nie docierał do oddziału i trzeba było

stosować po staremu sole bizmutu i tanalbinę. Były także duże trudności ze stosowaniem diety.

Przypadki czerwonki bakteryjnej nie były liczne. Chorzy, rekrutujący się z nasch wojskowych, przybywali w stanie ciężkim i przeważnie ginęli. Jeden z chorych, chorąży w wieku lat czterdziestu, opowiedział w jakich warunkach sam zachorował i wielu innych żołnierzy, którzy nie trafili do naszego szpitala. Masowe zachorowanie powstało wśród grupy żołnierzy załadowanych do wagonów towarowych, w zasadzie nie otwieranych. Byli planowo głodzeni. Przez kilka dni zestaw wagonów kierowano tam i z powrotem. Kiedy pociąg zatrzymał się na dłuższy postój wśród pól, żołnierze, pokonując zamki wagonów, wybiegli na pola, by wyrwać buraki, kartofle i inne warzywa. Jedli te plody w stanie surowym.

Z przybyciem obsady radzieckiej skończył się napływ chorych jeńców z czerwonką bakteryjną, zjawili się natomiast żołnierze radzieccy przybywający z biegunką zawierającą niewielkie ilości krwi, nie będący w stanie odwodnienia i wyniszczenia. Radzieccy lekarze nazywali takie stany „giemokolit - hemocolitis”.

W miarę pracy z lekarzami radzieckimi zacząłem orientować się, że postępowanie lecznicze podporządkowują ustalonym schematom i normom dla poszczególnych jednostek chorobowych. Nie trzymanie się tych wytycznych mogło w razie niepowodzenia spowodować wkroczenie administracyjno-lekarskiej władzy nadzorczej, a nawet prokuratorskiej. Leki według odrębnego planu mogły być stosowane po wyczerpaniu drogi typowej, ale nader ostrożnie. W dyskusjach, które prowadziłem z lekarzami, szczególnie z Rutsztejnym i Minusiewiczem, dąłem się poznać jako doświadczony lekarz, od którego można było nie małą nauczyć się, co wytworzyło pewną lojalność w obcowaniu, a mające na początku miejsce kpiny - na przykład z polskiej awiacji - już się nie potwarzały. Z podsłuchanych rozmów, prowadzonych między obu lekarzami, dowiedziałem się o trudnościach w ich pracy, oscylującej na pograniczu odpowiedzialności administracyjnej i sądowej. To pozwoliło zrozumieć, dlaczego radzieccy lekarze wojskowi nie garnęli się do leczenia poważniejszych przypadków chorobowych, chętnie cedując opiekę naszym lekarzom. Jak już wspominałem, mieszkałem w jednej izbie z obu lekarzami radzieckimi, lekarzem Markiem i komisarzem Kolesnikowem, który umiał trochę mówić po polsku, gdyż, jak twierdził, rodzice jego pracowali u Polaków, właścicieli ziemskich. Któregoś wieczoru, kiedy byliśmy wszyscy razem, Kolesnikow zapytał mnie, która godzina. Kiedy podałem czas warszawski, komisarz z obu-

rzeniem pouczył mnie, że powinienem już posługiwać się moskiewskim, jedynie obowiązującym. Nie podobał mu się również mój zegarek.

- Co to takiego „zygarek”? Skąd się ten wyraz wywodzi? U nas - „czasy”, słowo zrozumiałe.-

Z tego tematu przeszedł następnie na mój osobisty. Byłem już ubrany po cywilnemu, dlatego nie uważał mnie dotąd za wojskowego, który brał udział w wojnie. Teraz zapytał wręcz, czy nie byłem zmobilizowany. Nie zaprzeczyłem i odtąd przyłgnęło do mnie określenie „internowany”, choć inni lekarze będący w takiej samej sytuacji, nie byli w podobny sposób określanii. Gdy opuszczałem pracę w szpitalu wojskowym, Kolesnikow nie stawiał sprzeciwu, ale wydał mi zaświadczenie (udostowierzenie) stwierdzające, że jestem lekarzem internowanym. Z takim dokumentem bałem się dokądkolwiek wyruszyć, byłem więc zmuszony do zgłoszenia się do pracy w lecznictwie cywilnym, żeby - między innymi - zdobyć lepsze, czy choćby wystarczające papiery. O tym, że książeczką służby oficerskiej w Wojsku Polskim nie mogłem się posługiwać, pisałem wcześniej a dowodu osobistego, jak i ubrania cywilnego nie zabrałem z domu.

Moja gromadka, z którą przybyłem do Stanisławowa, trzymała się zgodnie, co pozwoliło mi opanować rozterkę i ciągłą myśl o bliskich w kraju, „za kordonem”, jak to określali ludzie radzieccy. Zacieśniały się więzy sympatii z panną Reną, która w obliczu zagrożenia chciała umierać wspólnie ze mną. Była jednak nadal jakaś smutna, jakby ukrywająca wewnętrzną rozterkę. Ten jej nastrój stwarzał między nami granicę szczerości i powiedziałbym poufałości. Dr Ostaszewski, przypatrując się temu, a znał pannę Renę dość dawno, zażartował kiedyś:

- Panno Reno, dlaczego jest pani taka zgaszona? Niech pani poko-cha się z doktorem! -

Odpowiedziała, że nie może wypowiedzieć wszystkiego, co ją trapi. Widywaliśmy się codziennie po pracy, chodziliśmy na spacer, oglądaliśmy w kinie znane polskie filmy i nieznanne radzieckie, często przyprowadzone nieznośną propagandą, zwykle naiwną. Bywaliśmy też w małej kawiarence, gdzie można było zjeść coś smacznego, innego niż danie z kotła. Bywali tam również oficerowie i lekarze radzieccy, między nimi zawadiacki major Skrenczenko, podający się za „neuropatologa”. Pewnego razu zwierzył mi się, że jest wychowankiem szlacheckiego gimnazjum w Woroneżu. Kiedy indziej, że uczy się języka polskiego i że właśnie dziś czytał wiersz - „Redutę Orдона”. Skrenczenko był członkiem partii. Kilka tygodni później spotkaliśmy się w Miejskim Wydziale Zdrowia (Gorzdarwie). Czekałem tam na przydział pracy.

- O co chodzi? - zapytał.

- Przyszedłem, żeby uzyskać odpowiednie stanowisko. -

Skrenczenko wziął mnie za rękę, doprowadził do stołu, gdzie odbywały się zapisy i wyjąwszy z zanadru legitymację członka partii komunistycznej rzucił ją na stół przed urzędującym referentem, lekarzem.

- Ja, członek partii, ręczę za tego lekarza, musicie mu dać odpowiednie stanowisko. -

W listopadzie dr Ostaszewski postanowił wyjechać z synem do Lwowa, gdzie Janek miał dalej studiować medycynę. Panna Rena pracowała nadal w poliklinice i snuła plany powrotu do Warszawy przez zieloną granicę, drogą Białystok - Małkinia. Basia Nazarowska pracowała w oddziale chirurgicznym, na sali operacyjnej. Obie panie były wysoko cenione. Byłem świadkiem, jak dwaj starsi stomatolodzy z Charkowa z podziwem przyglądali się pracy panny Reny, lekarza stomatologa. Chociaż nie mówiła po rosyjsku ani po ukraińsku, potrafiła jakoś znaleźć się w tej nowej atmosferze. Pamiętam, jak o wczesnym zmierzchu jesiennego dnia spacerowaliśmy po niewielkim skwarze na zapleczu szpitala garnizonowego. Mówiła, że nie może zostać i czekać na wspólny ze mną powrót. Im bliższy był termin odjazdu, tym nasze więzy przyjaźni stawały się mniej szczerze. Panna Rena zaczęła nawet zwracać mi uwagę, że tu i tam zachowałem się tak jak przewidywała, znając mnie dostatecznie dobrze. Wyjazd panny Reny odczułem jako dużą przykrość. Pożegnaliśmy się na dworcu bez zobowiązań. Prosiłem, żeby po przyjeździe do Warszawy wstąpiła do moich rodziców, ale - jak później przekazała mi matka - rozmawiając ze mną była jakby zaleźniona, starała się czym prędzej zrzucić z siebie podjęte zobowiązanie. Pozwalał sobie tu wyprzedzić opisane w dalszym ciągu wydarzenia. Po powrocie do Pruszkowa w początkach 1942 roku dowiedziałem się od pacjenta leczącego się jednocześnie u mnie i u panny Reny, gdzie mieszka i gdzie pracuje. Dowiedziałem się ponadto, że osoba rodu męskiego, która stała na przeszkodzie naszemu zbliżeniu i może trwałszemu związkowi, zginęła z rąk gestapo już na początku okupacji. Zostałem zaproszony do odwiedzin i byłem przez pannę Renę serdecznie, ale z pewnym dystansem powitany, gdyż prócz gospodyni zastałem trzecią osobę. W tej sytuacji nie starałem się już podtrzymać tej znajomości, choć miałem już rozwiązane ręce wobec żony, która w czasie mojego przymusowego pobytu na wschodnich rubieżach - rozwiodła się ze mną zaocznie i wyszła powtórnie za mąż. W czasie Powstania Warszawskiego pani Rena zjawiała się u mnie w szpitalu.

Poszukiwała wtedy bliskiej osoby, narzeczonego czy męża. Nie dopytywałem się o szczegóły. Była fizycznie i psychicznie załamana, godna politowania. Ubrana był w wieczorową suknię, czarną lub ciemną, dekolowaną, bez wierzchniego okrycia. Nie chciała pozostać dłużej, odpocząć. Na tym skończyła się nasza znajomość. Po wojnie szukałem jej w spisie lekarzy stomatologów - nie znalazłem.

W końcu listopada 1939 roku zaproponowano mi pracę w organizującym się oddziale zakaźnym Szpitala Miejskiego w Stanisławowie na stanowisku ordynatora, czyli według tamtejszej galicyjskiej terminologii - prymariusza. W decydującym momencie okazało się jednak, że to stanowisko ma objąć inny lekarz, ja zaś miałbym pozostać jego zastępcą. Była to dla mnie przykra niespodzianka, gdyż już od kilku tygodni samodzielnie organizowałem ten oddział powstający w zabudowaniach dawnej bursy szkolnej. Położony był na przedmieściu przy moście kolejowym na Bystrzycy. Ostateczna decyzja co do obsady odbyła się w całkiem niecodziennej scenerii. W wyznaczonym dniu stawilem się wraz z przewidzianym na prymariusza lekarzem pochodzącym z Nowego Sącza. Kierownikiem Wydziału Zdrowia (Gorzdrawu) był lekarz Brener. Okazało się, że tylko ja mówiłem biegle po rosyjsku, natomiast kandydat na prymariusza nie mógł porozumieć się z Brenerem w żadnym innym języku. Obaj byli narodowości żydowskiej, ale żaden z nich nie próbował zagaic rozmowy w języku idysz. Gdy Brener usłyszał, że ja chcę być tłumaczem, zapytał kim jestem.

- Lekarzem - odpowiedziałem.

- Ja tożę wracz. -

Na to towarzysz zarządzający Gorzdrawem wykrzyknął z radością:

- Drogi, drogoj! - podniósł się, schwycił mnie za rękę i wyprowadził do większej sali, gdzie byli zebrani lekarze, kandydaci do pracy.

- Towarzysze, przedstawiam wam kierownika szpitala zakaźnego, z tym człowiekiem poczynimy duże postępy! - (Z etim człowiekiem my daleko zajdiom!). Musiałem opanować się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

W taki sposób zostałem prymariuszem samodzielnego oddziału zakaźnego, który wkrótce został przemianowany na zakaźny szpital Oblasti, czyli województwa.

Budynek, w którym zorganizowano oddział zakaźny, nie był przewidziany na szpital, ale dał się rozplanować na 70 łózek. Na parterze mieściła się izba przyjęć z łazienką dla przebywających chorych i sale przeznaczone dla takich infekcji jak błonica, płonica. Niebawem trzeba było znaleźć większe dwie sale dla napływających gromadnie chorych,

przeważnie dzieci, na zapalenie meningokokowe opon mózgowo-rdzeniowych. Ta infekcja została przyniesiona ze Wschodu i objęła późną jesienią i zimą 1939/40 roku, aż do końca wiosny, cały teren naszych Kresów Wschodnich. Z opóźnieniem i mniejszym nasileniem infekcja przedostała się przez kordon do Generalnej Guberni; zastałem ją jeszcze w 1942 roku, gdy w końcu stycznia tego roku wróciłem do Pruszkowa.

Nie wszystkie izby były ujęte w system korytarzowy, co stwarzało szczególne trudności na piętrze, które przeznaczyłem dla chorych na dur brzuszny i czerwonkę bakteryjną, zaś obok były 2 mniejsze sale dla chorych na dur plamisty. Nie mieliśmy zakażeń wewnątrzszpitalnych, chociaż rozlokowanie sal chorych nie gwarantowało wystarczającej izolacji, a izba przyjęć była wspólna dla wszystkich przybywających chorych. Niektóre przypadki z łatwo dającym się potwierdzić rozpoznaniem kierowaliśmy do odpowiednich sal, omijając izbę przyjęć. Wyposażenie: żelazne łóżka z prętami a nie siatką, sienniki, podobnie jak większość poduszek, były napychane często wymienianą słomą; koce oblekane w poszwy, nakrywane dodatkowo barwnymi, ale cienkimi kocykami, poprawiały wrażenie. Była wystarczająca ilość stolików i szafek przyłóżkowych. Umywalki, miednice, ubikacje i baseny wystarczyły na zaplanowaną ilość chorych.

Na poddaszu znajdowały się jeszcze dwa pokoiki połączone chodnikiem z desek prowadzący przez strych. Jeden pokoiik był przeznaczony dla lekarza dyżurnego, drugi przeznaczyłem dla siebie. W oddzielnym parterowym budynku mieściła się kuchnia i biuro administracji. Bieliznę do prania dowoziliśmy w workach brezentowych impregnowanych do pralni szpitala powszechnego przy ulicy Kazimierzowskiej. Przewoźna kamera dezynfekcyjna typu dość prymitywnej stała na podwórzu. Radziecka służba sanitarna z Sanepidu, wyspecjalizowana w zabiegach dezynfekcyjnych i dezynsekcyjnych, stawiała rygorystyczne wymagania. Na podwórzu stała spora szopa przeznaczona na skład opału, stajnię i mieszkanie dozorca. Na obszernym strychu były zgromadzone zapasy siana i słomy. Za jedyne środki przewozu służył wózek konny zaprzęgany w łaciatego konia, którym za żadne skarby nie chciał jeździć pomocnik intendenta, Ukraińiec nazwiskiem Prydun. Przedstawił mi się jako były cesarsko-królewski urzędnik sądowy. W sprawie powożenia szpitalnym pojazdem oświadczył mi wręcz:

- To, panie prymariuszu, ja rabyem koniem nie pojedę.-

I nie siadał do wózka, nawet po wypiciu lampki bon gout, tj. czystej wódki, od której to czynności zaczynał pracę. Przełożona pielęgniarek,

Żydówka Bajberg, nalewała mu tę lampkę na moje zlecenie, zawsze z pewnym oporem. Ale tym niewielkim rannym poczęstunkiem zyskałem w Prydunie oddanego mi współpracownika, który w krytycznym momencie potrafił otoczyć mnie opieką, choć reprezentował przeciwny nam żywioł narodowościowy. Pryduna nie widziałem przez cały czas mojej pracy w szpitalu „w stanie po użyciu alkoholu”. Poza ranną dawką trunku nie pił w dni pracy, dlatego wyraziłem zgodę na ranny poczęstunek traktując go jako chwyt profilaktyczny.

Uruchamiając szpital rozglądałem się za wynajęciem w pobliżu kwatery dla siebie i części personelu. Odpowiedni lokal znajdował się po sąsiedzku. Należał do rodziny Bajłów, senior rodu prowadził niewielki tartak. Wynająłem dla siebie spory pokój ze stołowaniem za niewielkie pieniądze. Rodzina gospodarzy wywodziła się z pogranicza rumuńskiego, ale w czasie gdy u nich zamieszkiwałem, Bajlowie uważali się za Polaków. Córka ich była zamężna z rdzennym Polakiem. Z moimi gospodarzami, którzy początkowo zachowywali się wobec mnie nieufnie, zaprzyjaźniłem się niebawem. A była po temu potrzeba serca, gdyż po wyjeździe panny Reny czułem się szczególnie osamotniony. Z domu dochodziły skąpe i niepokieszające wiadomości, gdyż Lucyna przekazała opiekę nad naszymi dziećmi obcej osobie, której nie znałem, łamiąc tym postępowaniem przyrzeczenie dane mi przy pożegnaniu, że zostanie przy dzieciach podczas mojej nieobecności.

Do pomocy w szpitalu miałem kilku lekarzy. Moją zastępczynią była Rachela Bryl, doświadczona już lekarka. Również pediatra Ferster, krakowianin, był doświadczonym specjalistą. Dalsi trzej lekarze ledwie zdążyli ukończyć studia. Byli to: Cymerman, wykształcony na uniwersytecie w Rzymie, Ryncler po studiach w Bratysławie i Tadeusz Ziemiński we Lwowie. Ten ostatni kolega był Polakiem, obaj pozostali młodzi i dwoje starszych narodowości żydowskiej. Tylko jedna młoda pielęgniarka skończyła szkołę, reszta rekrutowała się z absolwentek półrocznych kursów PCK. Na przełożoną wybrałem starszą, choć nie najlepszą fachowo pielęgniarkę Bajberg. W decyzji kierowałem się przede wszystkim tym, że osoba wyznaczona na przełożoną pracowała od początku przy organizowaniu szpitala. Jednak młody lekarz Ryncler dopatrywał się w tym wyborze innego sensu:

- Pan prymariusz bardzo dobrze postąpił, wybierając Żydówkę na przełożoną pielęgniarek. Panu to znacznie ułatwiło i nadal ułatwi pracę. Zresztą nie miałem wyboru, gdyż w zespole nie było żadnej doświadczonej Polki a Ukrainek brak w ogóle. Bajberg okazała się osobą

rzetelną i lojalną. Myślę, że była mi wdzięczna za wyróżnienie i odpowiednio nastawiała personel, szczególnie narodowości żydowskiej.

Wśród Polek, młodych pielęgniarek, przeważały przystojne i przyjemne w obejściu. Personel kuchenny rekrutował się ze środowiska żydowskiej sfery drobnokupieckiej, społeczności, która w nowych warunkach nie była pewna, jak długo będzie dozwolony handel prywatny.

Sprawa salowych, ta pięta Achillesowa lecznictwa szpitalnego, została wcześniej rozwiązana przez skierowanie do pracy przy chorych kobiet kontrolnych (tak je nazywano w Warszawie): dwóch Ukrainek i jednej Polki. Muszę przyznać, że nie sprawiały one kłopotu a pracowały nie gorzej od innych. Czasem tylko któryś z byłych klientów był zaskoczony spotkaniem. Po kilku miesiącach obie Ukrainki zostały wywiezione do Donbasu a Polka, przyjaciółka milicjanta, została. Tę salową spotkałem po wojnie w jednym z dolnośląskich uzdrowisk. Była kąpielową w dziale borowiny. Zapytała mnie, czy nie pracowałem w szpitalu wojskowym. Podała miasto na terenie Ziemi Odzyskanych. Zawahałem się, czy nie sprostować, ale zrezygnowałem z przypomnienia jej o pracy w Stanisławowie. Przyglądałem się, jak szybko i sprawnie pracuje przy borowinie. Tylko ukradkowe pociąganie dymu z papierosa ukrywanego w przymkniętej dłoni, przypominało charakterystyczny nawyk dziewcząt ulicznych.

Intendentem szpitala był nauczyciel z Warszawy, Folfrost. Nazwiska księgowego, mieszkańca Stanisławowa, nie pamiętam. Obaj byli narodowości żydowskiej.

Utrapieniem naszym był obowiązek pisania życiorysów, nieraz na gorąco, w różnych okolicznościach. Gdy na przykład zmarł w oddziale duru plamistego człowiek radziecki, głowa miasta Tumacza, mój pierwszy w praktyce lekarskiej pacjent z durem plamistym, zjawiła się w tej sprawie niezwłocznie zwierzchność z Gorzdrawu. Leżałem wtedy w łóżku z wysoką gorączką, która wkrótce okazała się płonicą (scarlatina), mimo to musiałem napisać któryś tam z kolei życiorys. Pisał go również mój asystent Cymerman, bezpośredni opiekun zmarłego.

Na marginesie podobnych wydarzeń nabrałem przekonania, że w powtarzających się życiorysach mogły ujawnić się pewne różnice, dając podstawę do rozszyfrowania tego, co piszący chciałby ukryć. Nie bałem się zdemaskowania, ponieważ nie miałem potrzeby czegokolwiek ukrywać, poza przemilczeniem udziału w wojnie obronnej 1920 roku.

Po wypełnieniu sal chorymi, pracy w szpitalu było dużo i mimo ustalenia całodziennych dyżurów, przychodziłem do pacjentów również wieczorami. Chorzy mieli należytą opiekę, ale rozmawiając z ich rodzi-

nami, szczególnie chorych dzieci nie radzieckich, początkowo wyczuwałem jakiś brak zrozumienia i uznania dla mnie i mojego personelu. Po jakimś czasie nastąpiła jednak wyraźna zmiana, zaczęto nas szanować i darzyć zaufaniem, a w rozmowach wyczuwało się pewną swobodę. Zwierzyłem się z tego mojemu asystentowi, Tadeuszowi Ziemiowskiemu i on wyjaśnił mi sytuację:

- Panie prymaryszu, proszę się nie dziwić, że miejscowa ludność nie znając pana, była nieufna i podejrzliwa. Oni nie wiedzieli o tym, że jest pan Polakiem. -

Musieli widać słyszeć, jak rozmawiałem z rodzinami chorych radzieckich w języku rosyjskim.

Jeżeli chodzi o jednostki chorobowe to przebieg płonicy uległ już w tym czasie wyraźnemu złagodzeniu, nie dając prawie powikłań, szczególnie nerkowych, choć zdarzył się bardzo przykry przypadek szybko postępującego zapalenia nerek z załamaniem krążenia i śmiercią w ciągu 48 godzin. Powikłanie wystąpiło w okresie zdrowienia po lekkim przebiegu płonicy u ośmiotelnego chłopca.

Cofając się do 1926 roku, kiedy jako bardzo młody lekarz pracowałem w czasie znacznego nasilenia płonicy i błonicy w Warszawie, nie unikając ściślejszego kontaktu z chorymi - wyszedłem obronną ręką z kilkumiesięcznego współżycia z zakażeniem w Szpitalu Wolskim. Kilku kolegów i koleżanek zachorowało, dwoje z ciężkim powikłaniem nerkowym a Jerzy Michałowicz parę lat później zginął z powodu powikłania płonicy. W 1939/40 roku, gdy prowadziłem oddział zakaźny w Stanisławowie, wystarczyło żebym nieostrożnie usiadł obok chorego lekarza, badając go i prowadząc nieco dłuższą rozmowę, żeby po kilku dniach dostać gorączki, bólu gardła i typowej wysypki skórnej. Epidemia była lekka z wyjątkowymi powikłaniami, ale sytuacja moja przytłumiła siły odpornościowe. Byłem zmęczony fizycznie i psychicznie, strapiony sytuacją osobistą i Ojczyzny, przy tym źle ubrany w sensie zaopatrzenia w ciepłą odzież i dźwigający ciężar odpowiedzialności za duży oddział zakaźny. Płonice przebyłem u siebie w szpitalu, gdzie sytuacja wymagała nieraz, żebym wstawał z łóżka i udzielał rady młodszemu lekarzowi, nie unikając badania chorego. Dziś przyznaję, że takie postępowanie narażało nie tylko mnie, ale i chorego na zetknięcie się z inną jednostką chorobową. Na połączonych dwóch salach dla chorych na płonice przeważały dzieci. Obok mnie w oddziale leżał młody lekarz ze Stanisławowa, tzw. „fizyk”, którego obecność skracala mi dni choroby i zdrowienia. Po wypisaniu ze szpitala nie wróciłem do moich gospodarzy Bajłów. Postanowili oni skorzystać z nawoływania Niemców do zgłaszania się

rodzin niemieckiego pochodzenia na wyjazd do Rzeszy, choć dotąd uważali się za Polaków. Bajlowi, ojcu, wydawało się, że po przekroczeniu linii demarkacyjnej na Zachód, będą mogli mieszkać na terenach okupowanych przez Niemców. Bajl usilnie namawiał mnie, jeszcze przed moją chorobą, gdy brałem udział w kolacji wigilijnej w ich domu, żebym w ten sam sposób próbował powrócić do domu w Pruszkowie.

Pod koniec maja 1940 roku wysłałem do Lwowa pielęgniarkę, Stefaninę Komarówkę, żeby zdobyła wiadomości dotyczące repatriacji osób zgłoszonych na powrót do miejsc przedwojennego zamieszkania w „Generalnej Guberni”. Mimo pierwotnych zapewnień akcja odbywała się w sposób niemal dowolny. Kto był sprytniejszy, przechodził granicę na Sanie w Przemyślu. Władze radzieckie niechętnie godziły się na tranzyt ludzi z wykształceniem technicznym i medycznym. Nie obowiązywały uprzednio sporządzone wykazy. Stefania wróciła ze Lwowa, ściśle mówiąc, z niczym. Dlatego kilkanaście dni później pojechaliśmy wspólnie do Lwowa, zatrzymując się u dra Ostaszewskiego pracującego w poliklinice stomatologicznej. Jego syn, Jan, został przyjęty na studia medyczne na Uniwersytecie.

Niestety, tym razem nie uzyskałem pewnych wiadomości o tranzycie przez San do Generalnej Guberni. O tym, żeby jechać do granicy bez formalnego zwolnienia z zajmowanego stanowiska w Stanisławowie, nie mogłem decydować. Dr Ostaszewski obiecał czuwać nad sprawą.

Dnia 5 czerwca otrzymałem pismo zwalniające mnie ze stanowiska dyrektora Szpitala Zakaźnego. Nie było, jak wydawało się, przeszkód do powrotu. Niestety, wiadomości ze Lwowa nie nadchodziły, a na terenie Stanisławowa mówiono o zaprzestaniu akcji tranzytowej. Z perspektywy późniejszych wydarzeń rozważałem, czy opóźnienie decyzji dotyczącej mego zwolnienia z pracy nie było manewrem taktycznym władz, żeby w ten sposób uniemożliwić mój wyjazd na stronę niemiecką. A może naleganie z mojej strony było mało natarczywe, choć kategoryczne.

Po zwolnieniu ze stanowiska mieszkałem jeszcze w moim pokoju na terenie szpitala. Dwa czy trzy tygodnie przed datą otrzymania dokumentu rozwiązującego pracę w szpitalu wezwano mnie do NKWD, gdzie zapytano, czy podtrzymuję decyzję wyjazdu do rodzinnego Pruszkowa, co potwierdziłem. Wówczas podsunęto mi arkusik, wycięty z gazety i polecono pisać na poprzek drukowanego tekstu deklarację o zrzeczeniu się paszportu i radzieckiego obywatelstwa. Częstowano mnie papierosem, prowadząc między sobą niezrozumiałą rozmowę o tym, ile trzeba będzie przygotować wagonów do ewakuacji. I mimo, że miny

rozmówców były prowokujące, nie domyśliłem się, że może chodzić o transport w głąb Związku Radzieckiego, a nie ku granicy Generalnej Guberni.

W dniu, gdy podpisałem zrzeczenie, sprawa legalnego powrotu była już przekreślona, tylko nie rozgłaszano tej wiadomości. Przejście do Generalnej Guberni było już zamknięte w końcu maja, jak się później dowiedziałem.

Nie repatriowani Polacy zostali uznani za niepewny element, który postanowiono przesiedlić do głębiej leżących miejscowości Związku Radzieckiego. Sprawę trzymano w ścisłej tajemnicy.

W połowie czerwca, nocą, obudziły mnie głosy z podwórza szpitalnego:

- Gdzie tu mieszka Stiefan? Gdzie zdieś Stiefan? -

Zrozumiałem, że chodzi o mnie. Wejście do pokoju, który zajmowałem, znajdowało się na drugim piętrze bocznej klatki schodowej. Stałem przy oknie niezdecydowany, co robić. Tymczasem na podwórko wyszła dyżurująca pielęgniarka Felicja Fogiel, młoda Żydówka, którą niesłusznie podejrzewałem o specjalną rolę zbierania i przekazywania wiadomości ze szpitala do miejskiego wydziału zdrowia (Gorzdrawu), jednym słowem inwigilowania mnie. Usłyszałem przez okno, jak Fogielówna bardzo zdecydowanie oświadcza przybyszom, funkcjonariuszom NKWD:

- Towarzysz dyrektor wyjechał kilka dni temu do Lwowa, nie ma go w szpitalu. -

Wówczas milicjanci zapytali o dozorcę, który mieszkał w drewnianym budynku w dalszej części podwórza, dokąd udali się. Zacząłem pośpiesznie ubierać się. Tymczasem funkcjonariusze zdążyli powrócić z dozorcą, Ukraińcem Michasiem, kierując się do wejścia na klatkę schodową prowadzącą do mojego pokoju. I tu znowu wystąpiła Fogielówna zagradzając drogę w kierunku schodów.

- Czy Michaś nie wie, że pan prymariusz wyjechał dwa dni temu do Lwowa? - powiedziała po ukraińsku. -

- A, prawda - ja zapomniałem! - odpowiedział nie zwlekając Michaś.

Ta postawa skonsternowała przybyszów, ale nie dali za wygraną, chcieli rozmawiać z dyżurującym lekarzem. Ociągając się, weszli do izby przyjąć położonej przy innym wejściu do budynku. Niewątpliwie bali się zetknięcia z pomieszczeniami wewnątrz szpitala. Stąd ich ograniczona aktywność. Dyżurował mało mi znany lekarz narodowości żydowskiej, Cajchner, który ze względu na numerus clausus i przekonania prokomunistyczne studiował za granicą, w Pradze Czeskiej. Mój pokój

łączył się z pokojem lekarza dyżurnego przejściem po kładce z desek przez strych. Poszedłem tam i wyjaśniłem, że przyszli do mnie, czy raczej po mnie, funkcjonariusze Milicji NKWD.

- Czy kolega może powiedzieć, że mnie nie ma, bo tak odpowiedziała już dyżurująca pielęgniarka. -

- Tak jest, panie prymariuszu, powiem, że pan wyjechał. -

W tym czasie, gdy Cajchner przygotowywał się do zejścia na parter do izby przyjęć, dyżurująca salowa, jedna z przydzielonych do pracy dziewcząt kontrolnych, częstowała milicjanta papierosem i starała się zająć go rozmową.

Po zapewnieniu przez Cajchnera, że mnie nie ma, gdyż wyjechałem do Lwowa, funkcjonariusz milicji próbował bezskutecznie połączyć się telefonicznie z komendą, wreszcie oświadczył, że jadą po dalsze instrukcje i oddalili się.

Rozważałem na gorąco, jak mam dalej postąpić. Pierwszym pomysłem było przejście na salę dla chorych na dur brzuszny i położenie się do nie zajętego łóżka. Liczyłem, że tu nie będą chcieli mnie szukać, ale gdy w ciągu najbliższych godzin nikt z komendy milicji nie zgłaszał się a nadchodziła pora zmiany nocnego personelu, ubrałem się, złożyłem swoje skąpe zasoby garderoby i przenieśliem się do budynku gospodarczego, gdzie mieszkał wspomniany już dozorca Michaś, ale i tu nie mogłem pozostać dłużej. Nie pamiętam, czy w pokoju z kuchenką u dozorca był jeszcze ktoś inny prócz żony dozorca. Moją uwagę zwróciła wisząca na ścianie fotografia gospodarza w uniformie ułana wojsk polskich. Jak okazało się, dozorca Michaś odbywał służbę w trzecim pułku ułanów imienia „Dzieci Warszawy” w Tarnowskich Górach.

Po naradzie przenieśliem się na strych, gdzie gromadzono słomę i siano. Przez okienko w dachu mogłem obserwować obejście szpitalne i okolicę z przebiegającym nieopodal torem kolejowym, po którym przejeżdżały pociągi z kierunku Lwowa. Około południa przejeżdżał skład wagonów towarowych, z których wyglądali liczni pasażerowie. Byli to transportowani w głąb Związku Radzieckiego Polacy, którzy zgłosili się na powrót do miejsc stałego zamieszkania sprzed wojny, ale nie zdążyli na czas skorzystać z prawa tranzytu. Miałem i ja wraz z nimi jechać w nieznaną ostateczność. Nad wieczorem, gdy nic nie wskazywało wznowienia poszukiwań mojej osoby, wyszedłem przez ogród na łąki leżące nad płynącą niedaleko Bystrycą, dopływem Dniestru. Była w tym spacerze pewna nieostrożność, dlatego w następane dni nie próbowałem wycieczek. Na strychu odwiedzali mnie zaufani pracownicy szpitala. Poza Michasiem przychodził pomocnik intendenta Prydun - ten z butel-

ką bon gout, wreszcie ogrodnik Wartanowicz, Ormianin, major rezerwy, którego przyjąłem do pracy bardziej żeby chronić, niż zatrudnić w ogrodzie leżącym jeszcze odłogiem.

Nie mogę dotąd nadziwić się, że nikt z mieszanego zespołu personelu szpitala: Żydzi, Ukraińcy i mniej liczni Polacy - nie wyłamał się i nie naprowadził władz bezpieczeństwa na miejsce mojego ukrycia. O sympatii i szacunku, jaki zdobyłem, wiedziałem, ale nie spodziewałem się takiej jedności! Od odwiedzających mnie dowiedziałem się, że owej nocy telefonowała do szpitala kucharka, starsza osoba, Żydówka, dając znać, że w mieście uprowadzają zgłoszonych na powrót do Generalnej Guberni.

Po upływie kilku dni, gdy mój pobyt na terenie posesji szpitalnej nie mógł trwać dłużej, zgłosił się późnym wieczorem Wartanowicz i zaprowadził mnie bocznymi drogami na przedmieście Stanisławowa, do innej dzielnicy niż ta, gdzie położony był szpital. Przyjęła mnie w gościnę rodzina państwa Sikorskich, której głowa, urzędnik skarbowy czy celny z Zaleszczyk, po nadejściu władzy radzieckiej przeniósł się do Stanisławowa. Sikorski nie miał w tym czasie stałej pracy. W tym gościnnym domu przebyłem około 5 tygodni. Początkowo ukrywałem się na strychu, ale niebawem przeniesiono mnie do pokoju z radiem. Wychodziłem do ogrodu tylko wieczorami. Nie byłem odcięty od świata, gdyż z aparatu radiowego mogłem wyłowić nie tylko niezbyt odległą stację z Rusi Zakarpackiej, ale i Londyn. Wiadomości z Zakarpacia były nadawane z dostateczną dokładnością, oparte na danych z audycji Zachodniej Europy, przy tym język był wystarczająco zrozumiały. Śledziłem przebieg wydarzeń z terenu walk na ziemi, w powietrzu i morzu. Słyszałem pocieszające, wielokrotnie powtarzane oświadczenia rządu Wielkiej Brytanii w języku niemieckim:

- Grossbritannien kämpft weiter! -

W czasie pobytu u Sikorskich odwiedzał mnie Wartanowicz, z którym omawiałem plan przejścia przez granicę na Zachód lub do Generalnej Guberni, ale były to zamiary mało realne i nie na moją inicjatywę.

W połowie sierpnia zdecydowaliśmy, że powinienem udać się do Lwowa, gdzie można było jeszcze, według wiadomości zaczerpniętych przez Wartanowicza, starać się o radziecki paszport. Miałem jechać pociągiem w towarzystwie pielęgniarki Stefci, która w czasie wydarzeń czerwcowych była nieobecna w Stanisławowie. Pożegnałem się z gościnną rodziną Sikorskich, głęboko wzruszony ale i upokorzony, gdyż gospodarz nie chciał przyjąć ode mnie żadnych pieniędzy za wyżywienie. Przyznam jednak., że gdyby stało się inaczej, nie miałbym zapewne

z czym wyruszyć w dalszą wędrówkę. Pieniądze, około 1500 rubli, nosiłem w tylnej kieszeni spodni zapięte agrafką od strony wewnętrznej. Czy pan Wartanowicz miał jakieś fundusze, z których subsydiował mój pobyt u Sikorskich, nie dowiedziałem się.

Wyruszyłem na stację kolejową po zapadnięciu ciemności w towarzystwie pana Wartanowicza. U celu czekała na mnie Stefcia, jedyna wówczas bliska mi osoba po tamtej stronie linii demarkacyjnej. W przejściu na perony kontrolowano nie tylko bilety, ale niektórym osobom również paszporty. My przeszliśmy omijając tę przeszkodę od strony torów kolejowych. Pociąg do Lwowa nie szedł zwykłą, bliższą drogą przez Chrzanów, Bóbrkę, lecz przez Kałusz. W źle oświetlonym wagonie wydawało mi się, że ten czy ów pasażer przygląda mi się bacznie i podejrzliwie. Obawiałem się, że lada chwila taki osobnik może zażądać wylegitymowania się, a miałem tylko odpis prawa wykonywania praktyki lekarskiej z fotografią i pismo Gorzdrawu zwalniające mnie ze stanowiska dyrektora i ordynatora Szpitala Zakaźnego w Stanisławowie. Książeczkę służby oficerskiej schowałem na strychu szpitalnym w skrzyni z trocinami. Ten dokument otrzymałem nieoczekiwanie w 1942 roku w Pruszkowie, wysłany pocztą ze Stanisławowa przez nieznaną mi osobę, która podała się za Sławę Orłowską. Była to najpewniej Stefcia Komarówna, ukrywająca się pod tym kryptonimem.

Do Lwowa przyjechaliśmy wczesnym rankiem. Tu znowu czekała mnie kontrola w przejściu z peronu do sal dworcowych. Był tłok, przeszliśmy bez kłopotu, ale z biciem serca. Przed dworcem odwróciłem się i popatrzyłem na fronton budynku. Chlubny napis „Leopolis semper fidelis” (Lwów zawsze wierny) widniał na szczycie. Na Stefcię, która wyruszyła na poszukiwanie miejsca, gdzie można było by zatrzymać się, oczekiwałem na ławce kościoła św. Antoniego, patrona mojej matki. Zdrzemnąłem się, obudziła mnie Stefcia, która dość łatwo znalazła kwaterę u dawnej znajomej pracującej w punkcie żywienia zbiorowego w charakterze szefa kuchni. Nie pamiętam już nazwy ulicy, ale trafiłbym tam jeszcze po tylu latach, orientując się na niedaleko położony teatr opery. Na plantach, przed budynkiem opery, spotkałem się następnego dnia z obywatelem narodowości żydowskiej wskazanym przez pana Wartanowicza. Rozmówca zaraz na wstępie rozwił moją nadzieję uzyskania paszportu zaocznie, natomiast paszport z paragrafem Nr 11, ograniczającym prawo zamieszkania w mieście wojewódzkim i w pasie rozciągającym się na szerokość 100 kilometrów od granicy mogłem otrzymać po przedstawieniu dowodu stwierdzającego tożsamość oraz zaświadczenie o zamieszkanu we Lwowie, conajmniej od

trzech miesięcy. Niestety i w tym wypadku musiałem załatwić sprawę osobiście w Urzędzie Paszportowym. O zaświadczenie, oczywiście naciągane, postarał się znajomy Wartanowicza za niewielką opłatą. Prosiłem tylko o pokazanie mi mieszkania, gdzie rzekomo w ostatnich czasach przebywałem legalnie zameldowany. W toku rozmów obywatel, z którym pertraktowałem, zaproponował, żebym postarał się o tak zwane, przepraszam za wyrażenie, „wariackie papiery”. Wówczas nie będę zmuszony przedstawić między innymi dowodu rejestracji wojskowej.

- Przecież pan jako lekarz, - mówił mój negocjator, - może uzyskać odpowiedni dokument od kolegów w Kulparkowie.

Nie chciałem iść tą drogą. Przed komisariatem na Zamarstynowskiej gromadziły się grupki spóźnionych petentów starających się o paszporty. Powtarzano niepokojące wiadomości o obostrzeniach a nawet zawieszeniu czynności biura paszportowego. Były to na szczęście fałszywe alarmy. W dniu otwarcia biura poszedłem tam z dużym niepokojem. Wahalem się, czy wejść. Obecna przy tym Stefcia namówiła mnie, żebym narazie tylko wszedł do środka budynku i zorientował się w sytuacji. Weszliśmy do poczekalni, nie było kolejki, tylko pojedynczy interesanci. Gdy otworzyły się drzwi do kierownika biura paszportowego, Stefcia, widząc moje niezdecydowanie, popchnęła mnie do środka i zamknęła drzwi. W pokoju zastałem dwóch urzędujących mężczyzn, cywilnego i milicjanta. Skierowałem się do starszego a ten wskazał milicjanta, który wziął moje papiery, nie podtrzymał rozmowy w języku rosyjskim, lecz poprowadził ją po polsku.

Mój dokument, zaświadczenie o prawie praktyki lekarskiej z fotografią, okazał się wystarczający do załatwienia formalności paszportowych. Mam do dziś to zaświadczenie, gdyż zwrócono je przy odbiorze paszportu. Przybito na nim pieczętkę „pasport wydan” - i paszport wydano.

W ciągu tygodnia oczekiwania na rezultat starań o paszport miałem przy sobie tylko pismo „Gorzdrawu” zwalniające mnie z pracy - na własną prośbę. Stefcia musiała odjechać jeszcze tego samego dnia, w którym złożyłem papiery w biurze paszportowym. Pozostawszy sam, ostrożnie przemykałem się po mieście. Próbowałem jeszcze uzyskać pracę we Lwowie, czy gdzieś w pobliżu. Zaszedłem do kuzynki pana Wartanowicza, pani Krzyżanowskiej czy Korzeniowskiej, nobliwej Iwo-wianki, Ormianki, która bardzo chętnie zajęła się moją sprawą. Uważała, że jedyną osobą, która może mi pomóc, jest profesor Franciszek Groer, znany pediatra. Spotkaliśmy profesora przy wyjściu na ulicę. Elegancki starszy pan, w kremowych zamszowych rękawiczkach prowadził psa

na smyczy. Po wysłuchaniu, o co chodzi, profesor zmierzył mnie wzrokiem i uśmiechając się powiedział:

- A gdzież ta faja podziwiała się dotychczas? Dobrze, niech kolega przyjdzie do mnie jutro do kliniki uniwersyteckiej, zastanowię się jak wam pomóc. -

Następnego dnia profesor przekazał opiekę nade mną swojej zaufanej asystentce lekarce Witlinównie, którą odwiedzałem parokrotnie w lwowskim Ochmatdicie, czyli wydziale opieki nad matką i dzieckiem. Pani doktor próbowała rozmawiać z wszechwładnym Trizubem, kierownikiem Obłzdrawu, czyli wojewódzkiego wydziału zdrowia, ale uzyskała tylko tyle, że zaproponowano mi objęcie placówki rentgenowskiej w Bóbrce koło Lwowa, na co nie mogłem zgodzić się, nie posiadając odpowiednich umiejętności w tej dziedzinie medycyny. Od profesora Groera dostałem pismo, w którym polecał mnie do pracy, jako doświadczonego lekarza z dorobkiem piśmienniczym, szczególnie w dziedzinie fizjatrii. Pismo to torowało mi dalszą drogę w Zachodniej Ukrainie na naszych terenach „przyłączonych” do Związku Radzieckiego w 1939 roku.

Po tygodniu oczekiwania wydano mi paszport z paragrafem Nr 11, ważny na pięć lat. Musiałem przy odbiorze podpisać zobowiązanie opuszczenia Lwowa w ciągu 10 dni.

Trudno sobie wyobrazić, jakie odprężenie, jaką ulgę czułem, wkładając do kieszeni ten dokument osobisty. Bo oto przestałem być na terenie Radzieckiej Ukrainy osobą niczyją, podobnie jak istnieje pojęcie res nullius, rzecz niczyja. Tak to odczułem. Nazwisko moje zostało pozbawione w dowodzie osobistym jednego „f”, bo takie były zarządzenia usprawniające pisownię.

Na marginesie chciałbym dodać, że w owym czasie na terenie ZSRR wydawano kilka typów paszportów, a więc: zwykłe na okres pięciu lat, również na ten sam okres czasu paszporty z paragrafem ograniczającym możliwość zameldowania, paszporty z ważnością na rok i osobliwe dokumenty bez obywatelstwa i prawa obrony ojczyzny (pasport bieżący grażdźstwa i prawa zaszczyty rodziny). Te ostatnie wydawano między innymi byłym wojskowym, którzy w związku z Rewolucją Październikową opuścili Rosję i znaleźli się na naszych terenach. Z paszportem, co prawda bez meldunku, mogłem już swobodniej poruszać się, to też potrosze zwiedzałem miasto. Nie nosiłem wówczas wąsów, jak to zwykłem czynić od lat studenckich, nie wiem też w jakim celu posługiwałem się okularami ze zwykłymi szklami. Brano mnie nieraz za człowieka ze Wschodu a to chyba z powodu czapki cyklistów-

ki z daszkiem, który w pewnych okolicznościach odchyłał się do góry, jak formowali go specjalnie Rosjanie. Zdarzało się, że zwracano się do mnie łamanym rosyjskim językiem i robiono zdziwioną minę, gdy odpowiadałem po polsku. Raz nawet wzięto mnie za księdza.

Dzień pierwszy września 1940 roku przypadł na niedzielę, ale nie był to oficjalnie dzień odpoczynku (dzień oddycha). Znalazłem się przed kościołem Dominikanów. Na placu stały chłopskie wozy i odbywał się targ. Nic nie wskazywało na to, że kościół jest pełen wiernych. Pchnąłem potężne podwoje i wszedłem. Nawa główna i boczne szczelnie wypełnione wiernymi, wśród których przeważała młodzież zgromadzona z okazji rozpoczęcia nowego roku szkolnego 1940/41, pierwszego bez oficjalnego nabożeństwa. Po raz pierwszy poza salą koncertową usłyszałem śpiew chóralski, potężny i zwarty „Bogurodzica Dziewica, Bogiem sławena Maryja”; a było to jak zbiorowa przysięga na wierność Panu Bogu i Ojczyźnie.

We Lwowie spotkałem kolegę ze szkoły podchorążych rezerwy sanitarnej lekarza Fejrajzena, od którego dowiedziałem się, że na Wołyniu w osadzie Cumań koło Ołyki pracuje inny kolega z mojego roku akademickiego Marian Gelbstajt, pełni nawet czynności kierownika rejonowego wydziału zdrowia (Rajzdrawu). Skądinąd wiedziałem również, że w Równem działa inny kolega z oddziału szpitalnego dra Anastazego Landaua Benjamin Jochweds. Postanowiłem zatem skierować się do Równego. Wszyscy ci trzej koledzy narodowości żydowskiej wybrali pobyt pod władzą radziecką przewidując słusznie, że Niemcy przeprowadzą represje a nawet próby wyniszczenia Żydów w Generalnej Guberni. O pochodzie wojsk Hitlera na Wschód jeszcze nie było słyhać.

Przed odjazdem ze Lwowa zaprosiłem swoją gospodynię z córką i siostrzenicą do kina na znany film „Ognie wielkiego miasta” z Chaplinem w roli głównej. Po seansie odprowadzałem młodą osobę, siostrzenicę gospodyni, do przystanku tramwajowego. Mieszkała na dalszym przedmieściu Lwowa - Hałosku. Jak mogłem zorientować się podczas krótkiej znajomości, młoda pani była od początku wojny bez męża, który w wyniku działań niemieckich a następnie radzieckich, znalazł się poza Lwowem. Szliśmy w kierunku budynku opery, za którym znajdował się przystanek tramwajowy w kierunku Hołoska. Rozmawialiśmy dość poufale i ustaliliśmy datę następnego spotkania. Na przystanku pożegnałem się. Zaledwie uszedłem kilka kroków posłyszałem wezwanie do zatrzymania się. Początkowo nie wziętem tego do siebie, ale wezwanie zostało powtórzone wprost do mnie. Zejdźmy na bok, powiedział po

polsku nieznajomy. Zatrzymaliśmy się na uboczu, wtedy pokazał legitymację w czerwonej okładce. Nie sprawdziłem tego dokumentu, gdyż byłem zaskoczony i zdezorientowany. Z kolei musiałem pokazać mój paszport. Nieznajomy obejrzał go dokładnie, stwierdzając, że nie ma w nim zameldowania. Paszport, wyjaśniłem, otrzymałem kilka dni temu i zgodnie z zaleceniem zawartym w paragrafie mam zamiar wyjechać na Wołyń i starać się o pracę.

- A może przeciwnie, chcecie przedostać się przez granicę do Rumunii albo do Węgier? - zapytał podchwytliwie legitymujący mnie osobnik, jak zdażyłem zorientować się, zapewne funkcjonariusz służby bezpieczeństwa albo po prostu członek partii.

- Zapewne informowaliście się już, którądy i przy czyjej pomocy można to przeprowadzić? -

- Nie informowałem się i nic o tym bliżej nie wiem. Jeszcze raz powtarzam wam, że zamierzam szukać pracy poza Lwowem, dlatego w najbliższych dniach wyjadę do Równego.-

- Jak to możliwe, żebyście jako lekarz, bo tak macie napisane w dowodzie, nie mogli dotąd znaleźć pracy? -

Rozmowa była bardzo niebezpieczna, gdyż orientowałem się, że każda niejasna, niepewna odpowiedź może doprowadzić mnie do komisariatu, czy agendy NKWD, a wtedy doszłoby najpewniej do ujawnienia tego, że w Stanisławowie uniknąłem deportacji na Wschód. Po chwili nieznajomy zmienił temat rozmowy.

- A kobieta, z którą pożegnaliście się przy wsiadaniu do tramwaju - kto to taki? -

Poczułem, że odzyskuję panowanie nad niepokojem.

- Bliżej tej osoby nie znam - odpowiedziałem. - Jest siostrzenicą mojej gospodyni, u której ostatnio mieszkam. Właśnie byłem z całą rodziną w kinie, a panią, o której mowa, odprowadzałem do tramwaju, gdyż mieszka na Hołosku.

Po pewnym namyśle nieznajomy powiedział:

- Mężem jej to wy nie jesteście, on młodszy od was. A czy nie wiecie kim był, czy kim jest, jej mąż? -

- Nie wiem. Słyszałem tylko, że w związku z działaniami wojennymi wyjechał.

-Naprawdę nie wiecie?

- Nie wiem.

- No, był zwyczajnie gliną, aspirantem policji granatowej.

Teraz rozmowa stała się już nieagresywna. Zapytał, czy nie mógłbym starać się o pracę lekarską we Lwowie. Przecież lekarze są potrzeb-

ni. Wreszcie dorzucił chyba retorycznie:

- Więc nie wiecie nic o przejściach przez granicę?
- Nie wiem!
- To cześć! - oddał mi paszport i oddalił się. Odetchnąłem z wielką ulgą, gdyż ten nieoczekiwany incydent mógł kosztować mnie co najmniej odtransportowanie w głąb Związku Radzieckiego lub co gorsze przetrzymywanie w miejscowym więzieniu aż do wybuchu wojny z Niemcami, jak to spotkało inne osoby z politycznego oskarżenia. Ci ludzie byli rozstrzeliwani na dziedzińcu więzienia, o czym dowiedziałem się później od położnej ze szpitala w Cumaniu. Osoba ta po zatrzymaniu przy nielegalnym przekraczaniu granicy do Generalnej Guberni była więziona w Łucku, a uratowała się w czasie likwidowania więźniów podczas cofania się wojsk radzieckich przed nawałą niemiecką w czerwcu 1941 roku. Położna postawiona w grupie przeznaczony do rozstrzelania nie została trafiona, upadła zanim dano komendę do wykonania salwy z broni maszynowej.

Wracając do mieszkania zastanawiałem się, o co w istocie chodziło nieznanemu. Czy moja towarzyszka przygody była już wcześniej obserwowana, czy tylko przypadkowe spotkanie jej ze mną wywołało reakcję ze strony osobnika pełniącego służbę śledczą, czy wreszcie indagujący był dawnym adoratorem tej zalotnej osoby.

Mimo wszystko pojechałem nazajutrz na Hołosko, zgodnie z umową. Pani Cecylia była nie mniej zdziwiona wydarzeniem. Na tym zakończyła się moja nieostrożna męska przygoda we Lwowie, który wczesną jesienią 1940 roku był jeszcze miastem z przeważającym polskim żywiołem. Nasz język słyszało się nie tylko na ulicy, w tramwajach i sklepach. Po polsku ogłaszano przystanki w środkach komunikacji i wywoływano zainteresowane osoby w urzędach pocztowych.

Również część Ukraińców, widząc, że z przyjściem władzy radzieckiej nie urzeczywistnią się ich pragnienie posiadania wolnej Ukrainy, zaczęła posługiwać się w rozmowie z Polakami naszym językiem, co sam stwierdziłem wielokrotnie, nawet w sytuacjach urzędowych, gdy zwracałem się w języku rosyjskim, przeprasząc, że nie znam ukraińskiego.

Dzień, w którym opuszczałem Lwów, udając się w nieznany teren, był niezwykle przykry. Późnym wieczorem wsiadłem do pociągu w kierunku Równego. Wagon nieoświetlony, noc już chłodna. Zaszyty w kącie przedziału trzeciej klasy czułem się najbardziej osamotniony i bezdomny.